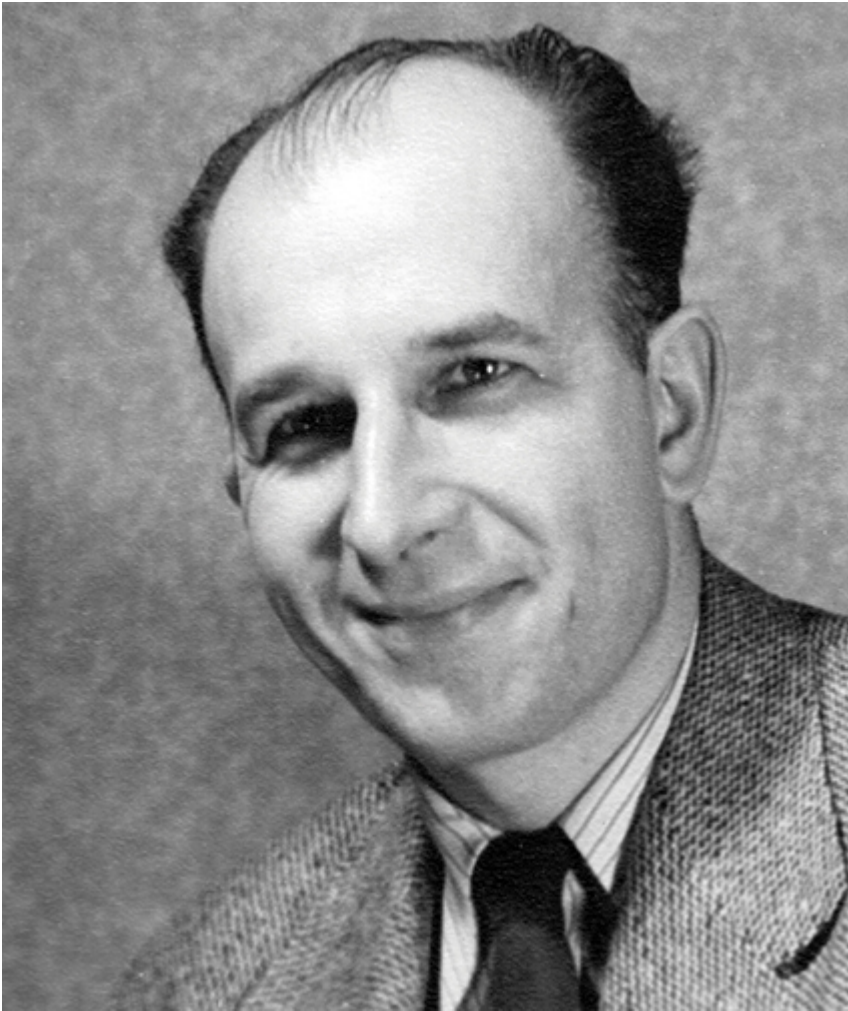


# Poezja na emigracji



Aleksander Janta Połczyński, źródło: kulturadostepna.pl

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

**Aleksander Janta Połczyński** (1908-1974) prowadził w Nowym Jorku antykwariat druków słowiańskich wraz z Aleksandrem Hertzem (1895-1983). Zobaczywszy na ich półkach antologię "Opisanie z pamięci", wybór wierszy młodych londyńskich poetów emigracyjnych, spytałem o cenę. Dziesięć dolarów wydało mi się ceną zbyt wygórowaną. - To niech mi pan dostarczy egzemplarzy - ciągnął niespieszony Janta.

Antologia została sporządzona i wydana w czasie chwilowej odwilży w Polsce. Po ukazaniu się, zamiast w sprzedaży wylądowała w piwnicach Domu Książki. Kilka lat później odwiedzałem Katowice, kiedy akurat w "przecenie" pojawiła się nieszczęsna antologia. Nabyłem wszystkie 40 egzemplarzy na składzie i przewiozłem do Kanady.

Posłałem sygnał do Nowego Jorku. Janta oferował już skromniejszą cenę, ale zakupił dziesięć sztuk, a ja za te dwadzieścia pięć dolarów przywiozłem sobie ze Stanów mały aparat radiowy, który dotąd działa.

\*\*\*



Marian Czuchnowski, źródło: oficyna21.pl

Kontrowersyjnego między wojnami poetę **Mariana Czuchnowskiego** (1909-1991) nieraz spotykałem w Londynie w drukarni "Oficyna Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków pod przęsłem mostu kolejowego Waterloo. Zatrudniali go do falcowania i innych prac związanych z produkcją czasopism i książek. Nieśmiały i przygaszony, zagubiony i zapracowany nie skarżył się na ciężki los robotnika w obcym kraju. Dla młodszych od siebie był człowiekiem bez przeszłości, nie znaliśmy jego literackich sukcesów i nie czytaliśmy najlepszych utworów. Tylko po łebkach dowiedzieliśmy się o jego młodzieńczym radykalizmie, a potem o ciężkich przejściach

w czasie zsyłki do ZSRR, gdzie stracił swoje iluzje raz na zawsze. Z armią Andersa przeszedł na Bliski Wschód.

Był podwójnie wyobcowany: z dawnych przekonań politycznych i ze środowiska awangardzistów. Postradał wiarę w wyznawaną dotąd ideologię będąc świadkiem inferna sowieckiego. Potem odrzucił kuszenie uprzywilejowanych towarzyszy wśród których mógł być zostać dygnitarzem w PRLu i pędzić dostatnie życie, ale wybrał mizериę emigracyjnego tułactwa i ubóstwo. Los nie szczędził mu osobistych tragedii. Opowiadał mi kiedyś w drukarni jak opiekował się umierającym ojcem i podawał mu uśmierzającą ból morfinę. Chętnie i szczerze służył swoimi tekstami naszemu piśmiu sympatyzując z młodym idealizmem.

\*\*\*

W czytelni British Museum w Londynie poznałem **Jana Rembielińskiego**, międzywojennego redaktora i prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, a z zamiłowania historyka. Siedział nad pismami Długosza. Chodziłem z nim na niedrogie obiady do restauracji Lyonsa. Delektował się starymi słowami takimi jak "skotopaski" zamiast sielanki czy bukoliki, które akurat tłumaczyłem z łaciny Wergiliusza. Mówił mi z upodobaniem o Polsce piastowskiej (wyszedł tylko pierwszy tom jego „Historii Polski. Średniowiecze” w 1948 roku) i wczesnej monecie na której było słowo "miłość".

---

**Świat należy do niewrażliwych. B. J. Jenne.**



Caracas, Wenezuela.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Wielu Polaków przeszło koleje godne epepei. Do nich zaliczę Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria” wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przesłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją. Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, kóremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po

różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w śródmieściu stolicy.

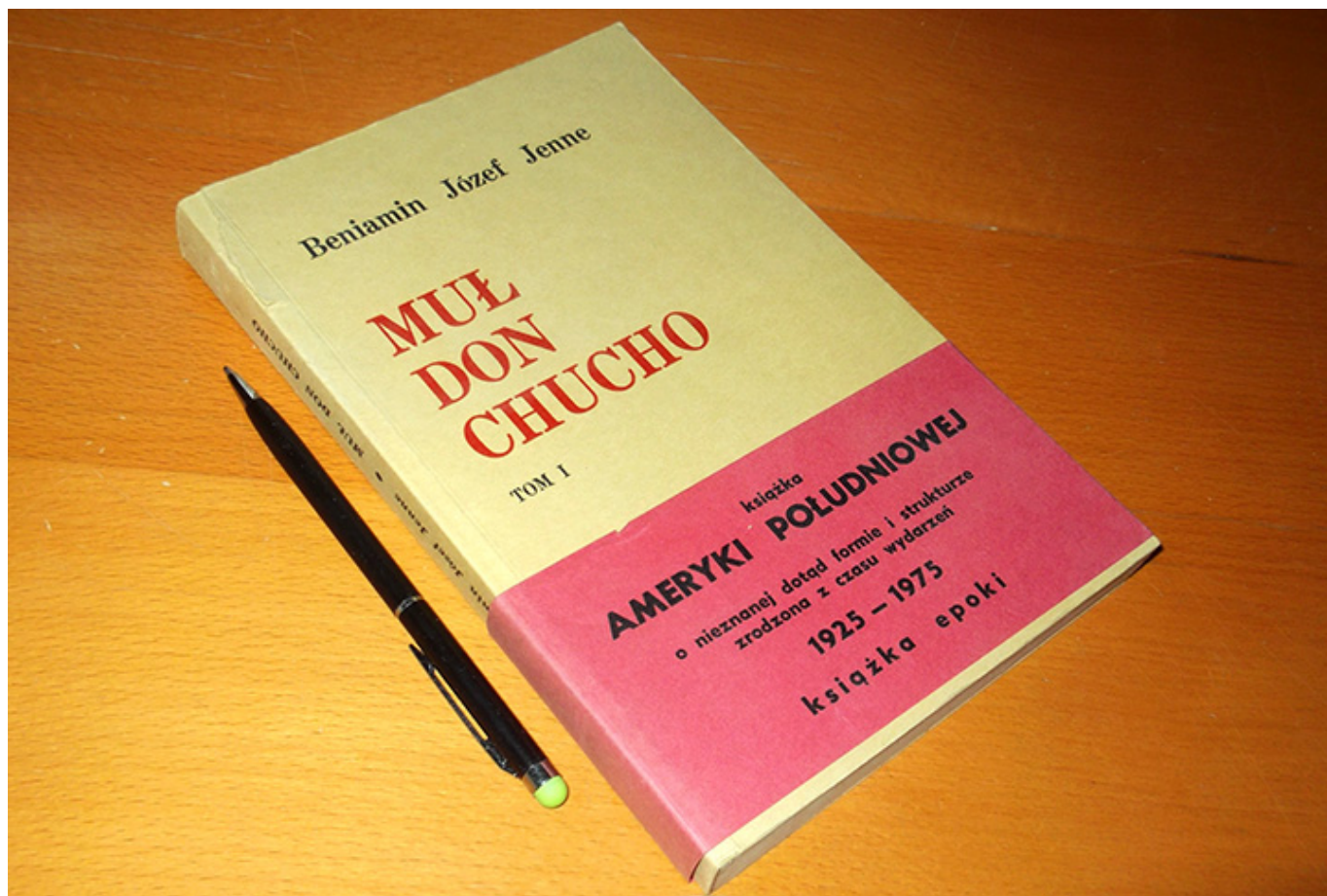
Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającymi się w gmachu Ministerstwa Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomnikiem oswobodziciela kraju plac Bolivara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszane na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonej siwizną włosach ale rogiatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonka telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko uTORował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w „Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu wartości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o

Solżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”, „Merkuriusza”, „Nowego Znak” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wśród nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.



Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don Chucho”. W 1962 roku

autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości” powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansisci, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure. Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamienych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łąje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępując efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronicę poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice, nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

*W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gazami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!*

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

*Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o jeszcze na razie nieustalonym tytule.*

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdzięk, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich”. Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.



Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho” (czytaj ‘czuczo’) to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji, chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?

---

## **„Delta czasu” - pamięć o powojennej historii Polski w zapiskach, wspomnieniach i wierszach Floriana Śmieji**



Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami. Kończyce, 17 sierpnia 1938 roku.

**Aleksander Trojanowski** (Wrocław)

W Bibliotece Śląskiej ukazała się w ubiegłym roku książka *Delta czasu* autorstwa Floriana Śmieji, wybitnego polskiego iberysty, tłumacza i poety, zamieszkującego w Mississauga (Kanada). Książka zbiera notatki i zapisy o charakterze wspomnieniowym, ukazując jej autora jako tłumacza w najszerszym sensie tego słowa - mediującego na co dzień między kulturą polską, kanadyjską, brytyjską, hiszpańską czy szerzej - między różnymi kulturami Zachodu. Zachęcając czytelników, by sięgnęli do tekstów autora, spróbuję pokrótce wskazać tu jej główne wątki.

*Poeta angielski napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, że nie służy mu zasklepienie się w sobie. Może więc raczej przypomina konfluencję delty, wody w*

*ruchu, mieszającej flukty w gromadzących się dopływach, aglomerat niesionych osadów, zalew, dorzecze, labirynt tętniący ruchem i życiem, penetracją, nieustannym sączeniem i podmywaniem lądu[1].*

W ten znaczący sposób Florian Śmieja rozpoczyna swoją książkę. Znaczący, bowiem sens, którym uzupełnia słynną frazę Johna Donne'a wyraża jej ideę przewodnią. Człowiek, jak się wydaje, to jego historia - zarówno ta „mała historia”, którą o sobie opowiada, jak i „wielka” historia, która kształtuje jego życiorys, ale którą też po części sam stwarza. Pamięć minionych wydarzeń okazuje się przede wszystkim „labiryntem tętniącym ruchem i życiem” - zapisem spotkań z innymi ludźmi. Jest to z pewnością niezwykle wartościowy rys wspomnień Floriana Śmieji - pamięć indywidualna okazuje się zarazem pamięcią wspólną, a osobiste zapiski autora ocalają pamięć nie tylko o jednej, ale o wielu biografiiach. Portret emigracji wojennej - ale przecież nie tylko, bo ukazane zostały także postaci, z którymi autor zetknął się jako człowiek nauki, poeta i tłumacz - nakreślony jest z czułością, ale i koniczną dozą krytycyzmu, które bezsprzecznie nadają książce walor dokumentu pewnej epoki.

Wspomnieniom Floriana Śmieji towarzyszy zarazem - z racji samej natury poruszanej w niej materii - atmosfera pewnego kresu. Jak pisze sam autor, „jesteśmy świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej”[2]. Jest to więc zatem próba opowiedzenia jej historii z perspektywy świadka, czy raczej, jak należało by powiedzieć - uczestnika zdarzeń, a więc opowieść z pierwszej ręki. Proponuję, byśmy dla potrzeb tego krótkiego omówienia przyjęli punkt widzenia czytelnika, który nie wie - nie wie, kim są sportretowane w książce postaci, nie zna kontekstu opisywanych wydarzeń, ani ich znaczenia. Jest to bowiem czytelnik, który będzie przyszłym odbiorcą tej książki. Czego się z niej dowie?

Wypada zacząć od tego, jak sam autor określa cel swojej książki:

*Moje wspomnienia i noty mają za zadanie przybliżyć niektóre zachowania i wypowiedzi znane mi osobiście i do nich starałem się ja zasadniczo ograniczyć, nie kusząc się o opracowanie wszechstronnych monografii. Te okruchy i fragmenty doświadczeń z autopsji, z pierwszej ręki, cytaty korespondencji, pragnę dorzucić do wiarygodnych przekazów i źródeł wiedzy o najnowszych dziejach Polski, w tym wypadku o emigracji niepodległościowej na Zachodzie, z których będą mogli*

*czierać przyszli badacze, historycy i krytycy.[3]*

Dostajemy więc do ręki dokument, mający za zadanie zachować wiarygodne informacje o życiu powojennej emigracji na Zachodzie. W dużej mierze przybiera on formę swoistego leksykonu postaci, z którymi zetknął się z różnych powodów autor. Leksykonu, w którym swoje miejsce znajdują zarówno pierwszoplanowi protagoniści powojennej kultury – jak Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, czy Leopold Tyrmand (by wymienić tylko kilka obecnych na stronach *Delty czasu* postaci), ale również animatorzy i uczestnicy życia kulturalnego Polonii w Anglii i Kanadzie i – co oczywiste – przyjaciele i najbliżsi.

Warto przy tym zaznaczyć, że osobisty wymiar zapisków Floriana Śmieji nie sprowadza się tylko do tego, że wśród opisywanych wydarzeń pojawiają się również bardziej prywatne wspomnienia. Polega on raczej na tym, że jako czytelnicy mamy okazję przyjrzeć się faktom z perspektywy autora. I ta obecność autora w tekście jest niewątpliwie wartością dodaną całej książki, co ujawnia się przykładowo we fragmencie, w którym autor krytykuje wydaną w 1965 roku antologię grupy poetyckiej „Kontynenty”, do której sam należał. Gdy Śmieja zarzuca redaktorowi tomu, Andrzejowi Lamowi, manipulację, mamy okazję jak w soczewce zobaczyć, jak aktualna jest stawka, o którą toczy się gra w tego rodzaju pisarstwie historycznym. Choć bowiem czytamy o wydarzeniach ze stosunkowo odległej przeszłości, to widać, jak względną i wrażliwą kwestią jest prawda i jak szczególnie cenną wartością są z tego względu relacje świadków i uczestników wydarzeń.

W szerszym kontekście zebrane w książce notatki, pisane z perspektywy emigranta i poety, który znajduje się niejako pomiędzy kulturą polską a kulturą swojego nowego miejsca zamieszkania, są swoistym przyczynkiem do problematyzacji polskości. Z jednej strony stanowią one przypomnienie, że najnowsza historia Polski nie toczyła się tylko w powojennej Polsce, a więc – innymi słowy – że jest ona nie do pomyślenia bez historii polskiej emigracji. Z drugiej zaś strony, emigracyjne losy ludzi polskiej kultury, a w szczególności poetów, ukazują uniwersalny wymiar ich doświadczenia. Wszak dylematy, przed którymi stawali bohaterowie wspomnień Śmieji, jak np. kwestia języka – czy trzymać się języka polskiego i skazywać na pisarstwo bez publiczności, czy porzucić polszczyznę i pisać w nowym języku – czy choćby

dotyczący szczególnie poetów problem tematu – czy mieszkający w Kanadzie poeta powinien stworzyć w polszczyźnie własny obraz Kanady, czy raczej utrwałać obrazy polskiej przeszłości – to dylematy wspólne wszystkim ludziom kultury, których XX wiek skazał na doświadczenie wychodźstwa.

Wspomnienia Floriana Śmieji, w których, jak się rzekło, odbija się co rusz doświadczenie zamieszkiwania między różnymi kulturami, kontakt z przedstawicielami innych kultur oraz nieustająca konieczność przekładu, pozwoli czytelnikowi spojrzeć dokładniej na sens działalności tłumaczeniowej i naukowej autora. Wspomnienia Floriana Śmieji unaoczniają bowiem, że widoczna na pierwszy rzut oka strona tej działalności jest w pewnym sensie drugorzędna. Tymczasem w swojej istocie, zarówno nauka, jak i przekład umożliwiają spotkanie i wzajemne porozumienie międzyludzkie. Niech ilustracją tego twierdzenia będzie opisana w książce historia przeszczepienia myśli brytyjskiej szkoły calderonistów – specjalistów zajmujących się twórczością hiszpańskiego dramatopisarza Calderona de la Barki – na grunt polski, w którym „maczał palce” profesor Śmieja. Historia ta zaczyna się po wojnie, gdy autor jest uczniem wybitnych brytyjskich calderonistów – Alexandra A. Parkera i Edwarda M. Wilsona. Do zajęcia się Calderonem zainspiruje on następnie napotkaną w Madrycie młodą hispanistkę z Polski, Beatę Baczyńską. Stanie się ona z czasem wybitną specjalistką w tej materii, czego symbolem może być kongres calderonistów, zorganizowany przez nią na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 roku. Widać tu jak na dłoni, że nauka, tłumaczenie, szerzej – zajmowanie się kulturą, to w istocie szereg spotkań, wzajemnych inspiracji i wspólnego działania ponad kulturowymi, czy politycznymi podziałami.



Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florian Śmieja wraz z JM Rektorem prof. Markiem Bojarskim i promotorem doktoratu honorowego prof. Beatą Baczyńską. Wrocław, 2015 rok.

Wypada wspomnieć również o poetyckiej działalności Floriana Śmieji, jego wspomnienia pokazują bowiem, w jaki sposób twórczość związana jest z życiem, będąc tak naprawdę częścią tego samego procesu:

*Budząc się o świcie, staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwie słowa, aż upewnię się, że posiadam myśl wartą zachowania. Czasem zdarza się, że równocześnie świta drugi pomysł. Próbuję go również ułoić i wtedy wstaję do komputera i usiłuję oba wątki zapisać, by utrwalone stały się budulcem wierszyków. Z tych esencji, czytając je wielokrotnie, szykuję wersję ostateczną, dodając i przetwarzając materiał[4].*

Esencji takich, poetycko przetworzonych wspomnień, na kartach książki nie brakuje.

Esencjonalność jest zarazem ogólnym rysem tej książki. Na koniec pozostaje bowiem

zdumienie, że tak wiele historii, osób, problemów zmieściło się na przestrzeni niecałych dwustu stron. Zapiski Floriana Śmieja są w tym sensie także lekcją pokory i przypomnieniem o tym, jak ulotna i wybiórcza jest pamięć. Czas, który obszerna monografia zredukowałaby może do paru wyrazistych postaci i kilku kluczowych faktów, rozrasta się tu i – co najważniejsze – zaludnia szeregiem barwnych i ciekawych postaci. Warto o nich czytać, żeby nie zapominać i żeby poznawać historie takie jak przytoczona w książce historia ludności pewnej śląskiej wsi, która w całości wyemigrowała do USA pod przewodnictwem księdza Leopolda Moczygęby, zabierając ze sobą ziarno siewne, pług, krzyż i dzwon kościelny, by w 1854 roku założyć w Teksasie miejscowość Panna Maria. Takich nieoczywistych a znaczących historii znajdzie czytelnik w *Delcie czasu* więcej.

**Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018.**



[1] Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 7.

[3] *Ibidem*, s. 8.

[4] *Ibidem*, s. 9-10.

---

## **Ekskursje pedagogiczne**



### **Florian Smieja**

Przeszedłszy na emeryturę w Kanadzie, zacząłem jeździć do Polski, by pomóc kształcić iberystów. Ekskursji tych było ponad szesnaście. Pierwsze wyprawy były do Wrocławia, potem do Opola i Częstochowy. Po spotkaniu Różewicza we Wrocławiu, widziałem go ponownie, kiedy odbierał kolejny doktorat honorowy w Opolu. Tamże witałem prezydenta emigracyjnego Ryszarda Kaczorowskiego i generałowa



Andersową.

Do osobliwych wizyt zaliczę pojawienie się w Opolu delegacji władz Galisji, cieszącej się w Hiszpanii autonomicznymi prawami i uprzywilejowanym językiem, z jej prezydentem Fraga Iribarne na czele. Pewnie sądzili, że przylecieli do pokrewnych *mutatis mutandis* Ślązaków mówiących respektowaną gwarą. Jako tłumacz miałem dużo satysfakcji porozmawiać z Iribarne nie zdradzając, że byłem jedynym Ślązakiem na placu i do tego przejezdny. Otrzymane później książki o pochodzącej z Galisji poetce Sofii Casanova Lutosławskiej podarowałem hispanistom wrocławskim.

Zapamiętałem huczne przyjęcie na zamku w Brzegu koło Opola wydane na cześć Kazimierza Kutza. Wyraziłem wtedy żal, że film "Śmierć jak kromka chleba" nosi nieśląski tytuł. Ślązacy "kromką" nazywają "piętkę", a przecież nie o to chodziło. Kutz wspominał, że przez wiele lat nosił się z zamiarem zrobienia filmu o emigracji całej śląskiej wsi pod przywództwem księdza do USA, gdzie założyli miejscowość Panna Maria w Teksasie. Plan nie doczekał się realizacji, bo fabuła zbyt wyraźnie symbolizowała tęsknotę całej Polski pod wodzą kardynała Wyszyńskiego. A chodziło po prostu o franciszkańskiego misjonarza, ks. Leopolda Moczygembę i mieszkańców śląskiej Płużnicy, którzy w 1854 roku popłynęli do Stanów Zjednoczonych z ziarnem siewnym, pługiem, krzyżem i dzwonem kościelnym.



Polska parafia w miejscowości Panna Maria w Teksasie.

\*\*\*

W czasie moich pobytów pedagogicznych we Wrocławiu, w latach pięćdziesiątych poznałem Noela Clarka (1925-2004). byłego korespondenta i pracownika radia BBC i tłumacza. Studiował w Oksfordzie germanistykę i romanistykę, opublikował m.in. przekłady dramatów Corneille'a i Kleista. Z czasem zaczął tłumaczyć poezję i teatr polski.

Dzięki zainteresowaniu Barbary Foly z telewizji wrocławskiej wystąpiłem z Noelem kilka razy przed kamerą, a w 1994 roku, w dwusetną rocznicę bitwy pod Raławicami, wydaliśmy razem dwujęzyczny tekst Teofila Lenartowicza "Bitwy Raławickiej".

Noel Clark przełożył ulubiony tekst angielskim wierszem, ale nie było jego polskiego wydania krytycznego, a polonista z Uniwersytetu Wrocławskiego proszony o pomoc, był przeciwny jego stworzeniu. Odmówił wszelkiej współpracy. Jako profesor gościnny nie lękający się akademickiego odium, postanowiłem sam tekst pilnie

przygotować. Książka ukazała się na czas i stała się dostępna turystom pojawiającym się w Panoramie.

Mój bezsilny Zoil strofował mnie nazywając mój tekst kuriozalnym. Noel natomiast został zauważony, a po wydaniu przekładu trzech komedii Fredry, a także, ponoć świętego, tłumaczenia "Wesela" Wyspiańskiego, uhonorowany przez władze polskie medalem za krzewienie kultury polskiej.

Tylko w Panoramie wycofano z niewiadomych powodów dwujęzyczną "Bitwę Racławicką".

---

## Przygody z tłumaczeniami



fot. tumbir

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Życie zazwyczaj daje nam więcej pomysłów i bodźców aniżeli czasu i możliwości do ich realizacji. Dobre intencje i idee potem bledną w porównaniu z nowymi, wydają się mniej atrakcyjne, wtórne czy nadto kłopotliwe, mało potrzebne.

Odwiedziwszy w latach sześćdziesiątych **Tymoteusza Karpowicza** jeszcze bodaj na wrocławskich Krzykach, miałem okazję spotkać się z **Ludwikiem Flaszenem** i **Jerzym Grotowskim** na malowniczym rynku. Domyślałem się, że rozmawialiśmy o hiszpańskim teatrze i Calderonie. Musiałem rozmówców przekonać, że jestem czynnym hispanistą, zdolnym przełożyć dla nich hiszpański dramat barokowy, a dokładnej: moralitet „Wielki teatr świata”.

Upłynęły lata, a mojego przekładu nie było. Powstawały inne tłumaczenia, obiecane, nie ruszało z miejsca. Nie pamiętam już szczegółów. Pamięć milczy. Mogło mi się marzyć o dostarczeniu takiego tekstu, śnić o takiej propozycji. Bez jasnego imperatywu łatwiej mi było nie wywiązać się z obietnicy.

I to, co uszło z pamięci mogło być nie istnieć w rzeczywistości. Ale zachował się list, który świadczy przeciwko mnie. W liście tym w grudniu 1965 roku Jerzy Grotowski pisał

*Powtarzam jednak „Wielki teatr świata” interesuje nas w stopniu szczególnym.*

\*\*\*

Pisarz portugalski **Ferreira de Castro** (1898-1974) napisał długą nowelę „A missão” (Misja), którą przełożyłem na język polski i wydrukowałem w PIW-ie w serii Jednorożca w 1972 roku. Ale znalazła się przedsiębiorcza osoba, pani Teresa Sobańska-Dąbrowska i zrobiła z tekstu scenariusz teatralny. Sztuka w reżyserii Magdy Teresy Wójcik grana była m.in przez Henryka Boukołowskiego w Klubie im. Wł. Pietrzaka.

Dowiedziałem się o tym, przypadkowo, odwiedzając Warszawę w 1974 roku.

Poszedłem do Paxu. Wywołałem konsternację, bo, rzecz jasna, ani na afiszu, ani na zaproszeniach nie figurowało nazwisko tłumacza. Przepraszano mnie, wręczono bilet na przedstawienie, kwiaty i tysiąc złotych. Mógłbym wraz z Paskiem powiedzieć coś o roli powszechnego pośrednika w kłopotliwych sytuacjach.

---

## Bolesław Kобрzyński - autor wierszy wojennych



**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Maria Danilewicz Zielińska głosując za kandydaturą Bolesława Kобрzyńskiego do nagrody Kościelskich, nazwała go

*autentystą, autorem wierszy wojennych... korzystnie odcinających się od*

*tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.*

Urodzony w 1914 roku, a zmarły w Anglii w 1988 roku poeta walczył we wrześniu 1939 r., a potem pod Tobrukiem, Monte Cassino i Anconą przypłacając wojaczkę dożywotnim pobylem w szpitalach angielskich. Jeszcze jako podchorąży dywizjonu przeciw pancernego pisał:

*Jak rzewnych fletów pieśń spokojna*

*Jak ponad miastem syren śpiew*

*Gdy wojna*

*Z naszych żył - wierszy płynie krew.*

Odwiędziłem go w jednym z angielskich szpitali w Mabledon niedaleko Londynu zaproszony na literacki wieczór przez poetę Bronisława Przyłuskiego. W dyskusji wziął udział Kobrzyński okazując się wytrawnym znawcą poezji. Potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero zdradził swoje fobie i jasny stał się jego stan psychiczny. Wymienialiśmy przez szereg lat listy. Często przysyłał mi pięknie kaligrafowane wiersze i uwagi. Donosił, że wiele jego czystopisów złożono w Bibliotece Polskiej w Londynie. Czy tam się zachowają?



---

**Bolesław Kобрzyński** (ur. 27 grudnia 1914 roku w Osterfeld w Westfalii, zm. 29 grudnia 1986 roku w Horton w Wielkiej Brytanii) - polski poeta.

Pochodził z rodziny górniczej. Szkołę podstawową ukończył w wielkopolskim Trzemesznie. Studiował w seminarium nauczycielskim w Wągrowcu. W latach 1935-1936 szkolił się w podchorążówce w Brodnicy. Przed wojną pracował jako nauczyciel. W 1939 roku został zmobilizowany i przydzielony do garnizonu rzeszowskiego. Po klęsce wrześniowej został internowany na Węgrzech. W 1940 roku przedostał się do Jugosławii, a stamtąd przez Liban do Syrii. Służył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Brał udział w walkach o Tobruk, Anconę i na Monte Cassino. Otrzymał awans na stopień oficerski (porucznika). Pod Monte Cassino został ranny. Resztę życia spędził w szpitalu.

Laureat nagrody literackiej Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w

Londynie (1950) i Nagrody Kościelskich (1976).

Pisał wiersze (między innymi *Kantyk do butelek z wodą*) i epigramaty. Jest autorem słów na pomniku pod Monte Cassino. Za jego sztandarowy utwór uważany jest *Wiersz o Tobruku*:

*Paść i nie ulec, bronić się i natrzeć,  
Karabin podnieść i nabić go znowu  
I szukać wrogów wolą i rozpaczą  
W górze, na morzu, po fiordach i rowach.*

*Na podstawie Wikipedii*

---

## **Szacunek dla historii**



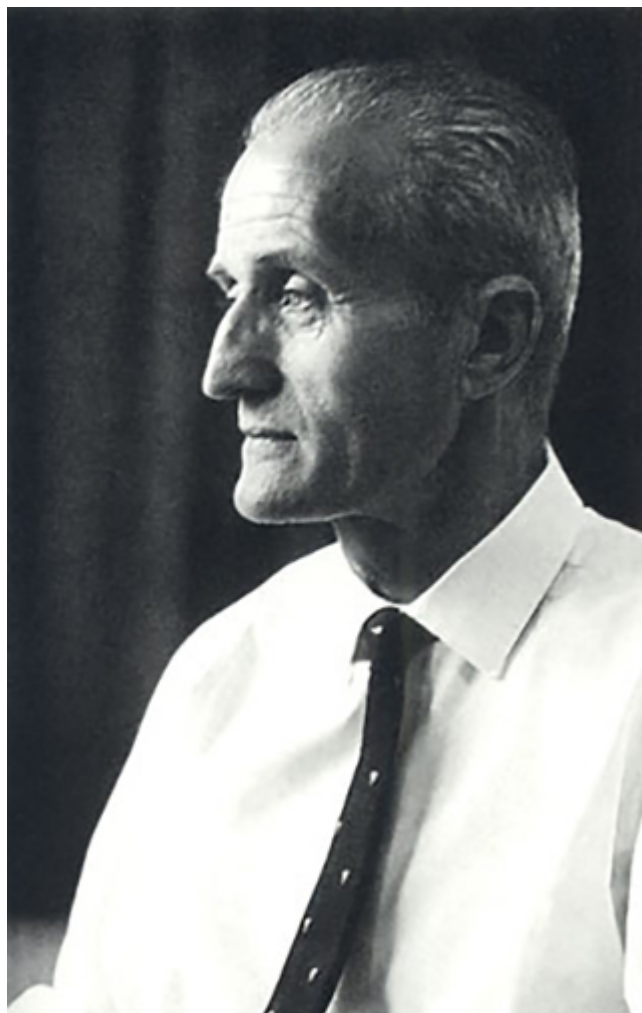


Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przyleciał z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewielu się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce zmarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i Malarzy, Krystyna Bednarczyk.

\*\*\*



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 "A Question of Honour" Lynn Olson i Stanley'a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników - nosząc polski mundur wojskowy, nie płacono się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.